

Jestem uzależniona od świata Rutherford Park, podobnie jak od *Downton Abbey*

MARGARET WURTELE

ELIZABETH COOKE

CIEMNE DZIKIE

hriaty



Schodząc ze ścieżki prowadzącej do północnej części lasu, William Cavendish zatrzymał się, żeby popatrzeć na rozciągającą się przed nim dolinę. W ten spokojny, piękny majowy poranek rozmyślał o ojcu.

William Cavendish senior, siódmy hrabia Rutherford, był cichym, mądrym człowiekiem o nieskazitelnym charakterze. William żałował, że nie może porozmawiać ze swoim dobrotliwym ojcem, bo potrzebował jego porady. Pomiędzy drzewami rysował się pięćsetletni budynek Rutherford Park, rozległy i majestatyczny. W porannym świetle miał barwę terakoty. William widział spiralnie rzeźbione kominy w piaskowym kolorze, pochodzące z epoki Tudorów, i szprosowe okna. Powiódł spojrzeniem po wiodącej do wioski alei wysadzonej bukami, które rosły tu niemal od wieku.

Rutherford jak zawsze wyglądało pięknie, czarująco i romantycznie. Królowało nad całą doliną w Yorkshire. William usiadł w lesie między tańczącymi cieniami drzew i patrzył na swoje dziedzictwo.

Gdzieś tam w dole – szukał wzrokiem właściwego okna na górnym piętrze południowo-zachodniego skrzydła – spała jego żona Octavia. Dochodziła piąta rano, słońce wzeszło niemal przed godziną.

Właśnie tutaj – William rozejrzał się wokół – albo gdzieś bardzo blisko tego miejsca, przyprowadził go kiedyś ojciec, był podobnie uroczy poranek. William miał wtedy czternaście lat i cierpiał z powodu małostkowych zniewag w Eaton, które sprawiły, że przez

cały semestr nikt go nie polubił. Ojciec słuchał i niewiele mówił. Przechadzali się tu i tam wzdłuż pól tarasowych, łąk i zataczającej łagodny łuk rzeki. W pewnej chwili ojciec położył mu rękę na ramieniu i odwrócił się w jego stronę.

– Musisz ugiąć się jak wierzba albo złamać jak dąb – powiedział. Widząc zdumienie na twarzy syna, wyjaśnił: – To takie wschodnie przysłowie, Williamie. Pamiętaj o nim w podobnych sytuacjach. Niezależnie od tego, co mówią, siła nie płynie z uporu.

William opierał teraz na kolanach zaciśnięte pięści. Bóg świadkiem, że starał się stosować do tej rady przez całe życie, ale poniósł sromotną porażkę. Dopiero wydarzenia zeszłego roku, między innymi miłość jego żony do innego mężczyzny, sprawiły, że twardy charakter trochę złagodził.

Kiedy Amerykanin wyjechał (nigdy nie nazywał Johna Goulda w myślach inaczej), William odkrył z trwogą, że stał się tak słaby i niegodny zaufania, jak źle zawiązany węzeł. Przyglądał się Octavii zupełnie bezradnie; jej udręka – choć bardzo starała się ją ukryć – była dla niego oczywista.

Zrozumiał, że jego serce jest narządem wrażliwym i podatnym na stres, otulonym zasłoną milczenia. Nawet teraz z trudem znajdował słowa, by wyjaśnić żonie, co czuje. Bał się, że Rutherford, mimo swojej wspaniałości, może okazać się dla nich niewystarczającym spoiwem.

Wstał, wciąż nie odrywając wzroku od posiadłości. Zauważył ruch – ogrodnicy już zabrali się do pracy. Na sznurach za domem kowala śnieżnobiałe pranie wydymało się i opadało, tworząc linię bieli. W olbrzymiej przeszklonej oranżerii ktoś otwierał okna dachowe, które rzucały słoneczne refleksy. Przy zakręcie rzeki widział konie – pełne życia kreseczki pędzące po trawie.

Jego ojciec uwielbiał Rutherford, zarówno sam budynek, jak i całą posiadłość, którą można było rządzić spokojnie i z godnością. W żyłach Williama nie płynęła ani jedna kropla okrutnej krwi, a to ona pozwoliła jego osiemnastowiecznym przodkom ukształtować

Karaiby zgodnie ze swoimi pragnieniami i założyć plantacje cukru; przyniosły one fortunę rodzinie. Mimo to William czuł w sercu przede wszystkim ciężar odpowiedzialności za Rutherford, a nie zachwyty nad wyjątkowej urody pałacem. Teraz musiał sprawić, aby w samym środku wojny, która zagnała jego syna do Francji, dwór wciąż funkcjonował.

Na myśl o Harrym – chłopak nie skończył jeszcze dwudziestu jeden lat i służył w Królewskim Korpusie Lotniczym – William zdenerwował się tak bardzo, że poczuł mdłości. Dzień wcześniej otrzymali telegram: Harry miał przyjechać do domu na kilkudniową przepustkę. Octavia aż zadrżała z radości. Późniejszą pocztą William otrzymał list od dowódcy Harry'ego. Zawarte w nim informacje wyprowadziły go z równowagi, obudził się wcześniej rano i ruszył na spacer po posiadłości, wciąż od nowa roztrząsając je w myślach. Jeszcze nie pokazał listu Octavii – szczerze wątpił, czy w ogóle powinien to zrobić.

Odczekał kilka minut, patrząc na wciąż wschodzące słońce i niebo, które przybierało idealny odcień błękitu. Całe to piękno, wielobarwna układanka ziem, farm, wrzosowisk, rzeki, lasów i ogrodów, to wszystko mogło przepaść, jeśli syn nie wróci tu po zakończeniu wojny. Harry był ich jedynym spadkobiercą.

– Wróci – zapewnił Octavię William w poprzednie Boże Narodzenie, gdy trzymała w dłoni najnowsze, nabazgrane pismem Harry'ego wieści z pola bitwy gdzieś we Francji. – Nie obawiaj się, kochanie.

„Nie obawiaj się”.

Nadzwyczaj ironiczne.

Bo utrata Harry'ego była tym, czego William Cavendish bał się najbardziej na świecie.

William mylił się, sądząc, że Octavia wciąż śpi.

Leżała na łożu z baldachimem i wpatrywała się w żółte, atlasowe zasłony. Wyhaftowane na nich stadko błękitników wyglądało

niemal tak, jakby przelatywało nad jej głową. Błękitnik od wieków był rodowym ptakiem Beckfordów, jeszcze w czasach prapradziadka Williama, zanim ten otrzymał tytuł szlachecki. Błękitne akcenty pojawiały się w całym domu. Tapicerka w salonie i w pokojach dziennych była niebiesko-biała. Na słupach przy bramie wjazdowej wyrzeźbiono w granicie przycupnięte na trzcinie cukrowej, splecione ze sobą ptaki. W wybudowanej za Tudorów sali kominkowej gipsowe błękitniki ozdabiały ściany. Przy głównej, wyłożonej mahoniem klatce schodowej ptaki te rozciągały skrzydła pod ogromnym portretem Octavii pędzla Singera Sargenta.

Westchnęła i odwróciła głowę. Ptaki, dom, męcząca nuda zwyczajnego życia... Czasem miała wrażenie, że się dusi. Usiadła na łóżku, odrzuciła kołdrę i podeszła do okna. Stojący obok łóżka zegar z domu towarowego Liberty wskazywał wpół do szóstej rano.

Dziś Harry wróci do domu. Wieczorem go zobaczy, będzie mogła wziąć za rękę. Od jego poprzedniej przepustki minęło siedem miesięcy. Już wtedy dostrzegła, że dwudziestojednoletni chłopak zmienił się w mężczyznę, jego twarz znaczyły wspomnienia trudnych doświadczeń. Widziała na niej cienie, on jednak wzruszył ramionami, pocałował ją i się uśmiechnął.

– Nie wolno ci się o mnie martwić – nakazał. – Dobrze się bawię.

Dobra zabawa. Odwrót z Mons, rozpaczliwa walka, która przyniosła tyle ofiar po stronie angielskiej i francuskiej – wiedziała, że Harry tam był. Ale nie chciał o tym rozmawiać. Zmienił temat i skierował rozmowę na swoją córeczkę, Cecilie, zdrobniale Sessy. Urodziła ją jedna z pokojówek w święto Bożego Narodzenia dwa lata wcześniej – ten romans wywołał ogromny skandal. Niewątpliwie jednak była córką Harry'ego i wyglądała dokładnie jak on. Upór Octavii sprawił, że dziewczynka zamieszkała w Rutherford.

Oparła się o parapet i wdychała słaby zapach kwiatów napływający z położonego niżej tarasu. Postanowiła, że później

odwiedzi Sessy w pokoju dzieciennym. Może zabierze ją na przechadzkę po ogrodzie. Dziewczynka przypominała jej Harry'ego, gdy był w tym samym wieku. Okazała się stanowcza i odważna. Zaciskała w piąstce różę, z całej siły powstrzymując się od płaczu, kiedy kolec wbił się w jej kciuk i popłynęła krew. Była do niego tak podobna. Ale Harry urodził się w czasach, gdy wojna oznaczała zaledwie odległy pomruk na terenie Imperium, problemy na granicach Indii czy konflikt burski. Nie tutaj. Nie w odległości dwunastu mil, po drugiej stronie Kanału Angielskiego. Wojna nie odbierała ludziom synów i nie unicestwiała ich tysiącami.

Octavia zadrżała. Usiadła na fotelu, otuliła się szalem i patrzyła przed siebie, lecz niczego nie dostrzegała.

Zdziwiła się, kiedy pół godziny później usłyszała pukanie.

Zmarszczyła brwi, wiedząc, że wciąż jest zbyt wcześnie na jej pokojówkę, Amelie.

– Tak? – zawołała.

Drzwi się otworzyły. W progu, w stroju wyjściowym, stał William.

– Mogę wejść? – spytał.

– Oczywiście.

Patrzyła, jak przechodzi przez pokój.

William był od niej niemal dwadzieścia lat starszy. Pobrali się, kiedy Octavia ledwo co skończyła dziewiętnaście lat. Nie wiedziała wtedy nic o mężczyznach i bardzo niewiele o społeczeństwie. Ojciec, którego się bała, trzymał ją blisko siebie. Olbrzymi posag – odkryła to po latach – przyciągnął Williama Cavendisha. W dniu ślubu była w nim szaleńczo zakochana. Mąż pokochał ją dopiero w trakcie trwania związku. Lecz to nie ten rodzaj miłości, jakiej doświadczyła zeszłego roku z Johnem Gouldem. Między nimi nigdy tak nie będzie. Nie mogło tak być, nie teraz.

William ujął jej dłoń i pocałował. Usiadł naprzeciwko.

– Zdziwiłem się, że już nie śpisz. Ale cieszy mnie to. – Podał jej poranną gazetę, którą przyniósł ze sobą. – Właśnie przyszła. Złapałem chłopca na posyłki, kiedy niósł ją przez dziedziniec.

Spojrzała na gazetę i z powrotem na niego. Poczowała ukłucie paniki.

– Tylko nie Harry...

– Czy gdyby coś mu się stało, dowiedzielibyśmy się z gazety? – spytał, unosząc brew. – Nie chodzi o Harry'ego. Chodzi o Kentów. O ich syna Ruperta.

– Och, nie – szepnęła.

Kentowie, ich najstarsi przyjaciele w okolicy, mieli dwóch synów, zawodowych żołnierzy stacjonujących we Francji. Kiedy ostatnio widziała się z Elizabeth Kent, ona, jak wszystkie matki, z przerażeniem mówiła o wojnie. Przyjaciółka pokazała Octavii listy Ruperta. Pisał o okopach zalanych lodowatą wodą, w których musieli stać godzinami. Wspominał też o pułkach kanadyjskich, ich odwadze pod ostrzałem.

Octavia wciąż rozmyślała o liście od Ruperta. Wojna przybierała w nich konkretną formę. „Najtrudniej jest, kiedy ginie ktoś porządny” – pisał. – „Przedwczoraj straciliśmy sierżanta. Nigdy tego nie zapomnę. Był starym wygą, wesołym człowiekiem. Wydawał właśnie rozkazy strzelcom, kiedy obok uderzył zabłąkana pocisk artyleryjski. Pobiegłem z powrotem w ich stronę – całej sceny nie będę opisywał – ale nasz sierżant leżał na plecach. Wyglądał, jakby nic mu się nie stało, jakby odpoczywał. Na jego ciele nie widać było żadnych ran, a jednak nie żył. Bliski wybuch pocisku powoduje taki właśnie efekt. Zaledwie kilka sekund wcześniej się do mnie uśmiechał, a teraz leżał, z twarzą wciąż pełną życia...”.

Rupert Kent pięknie pisał.

Elizabeth i Hamiltonowi zostaną po nim wyłącznie listy.

Na liście ofiar zamieszczono informację, że kapitan Rupert Kent zginął w miejscowości Langemark dwudziestego drugiego kwietnia.

– Muszę zobaczyć się z Elizabeth – szepnęła Octavia. – Na pewno jest zdruzgotana. – Oderwała oczy od listy poległych i z namiętnością złożyła stronę. – A co z Alexandrem? – spytała. Alexander był drugim synem Kentów.

– Zapewne wciąż tam jest – odparł William.

Zakryła oczy, w myślach powtarzając: „Proszę, niech Harry już wróci. Teraz, w tej chwili”. Czuła – choć zdawała sobie sprawę, że to absurdalne – że nie wytrzyma ani chwili dłużej. Nie uwierzy, że jej syn jest bezpieczny, dopóki go nie zobaczy.

Poczuła na ramieniu dłoń Williama. Spojrzała na męża.

– Umówiliśmy się, że nie będziemy się zamartwiać – przypomniał jej.

Nie potrafiła zdobyć się na odpowiedź. Widziała, że zerknął na łóżko. Głodził jej dłoń.

– Czy miałbyś... czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym zadzwoniła po Amelie? – spytała. – Muszę napić się herbaty.

Spostrzegła, że źle przyjął to odręczenie. Jego twarz niemal komicznie skrzywiła się w wyrazie rozczarowania.

– Oczywiście, że nie – wymamrotał i wstał.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Octavia odetchnęła głęboko.

Bez wątpienia postąpiła okrutnie i egoistycznie. Żona nie powinna się tak zachowywać, a William był zbyt wielkim dżentelmem, by naciskać. Odkąd John Gould wyjechał, jej serce zmieniło się w bryłę lodu. Została ze względu na dzieci, nie tylko Harry’ego, lecz również Louise i Charlotte, jego młodsze siostry. I oczywiście małą Sessy. Octavia szanowała Williama. Czasami mu współczuła, więc ulegała mu tak często, jak uważała za stosowne. Ale kochać go, naprawdę go kochać? Na to nie potrafiła się zdobyć.

Na dole Rutherford nie spało. O szóstej trzydzieści praca wrzała.

Dwie pokojówki, Mary Richards i Jenny Best, były na nogach już od pół godziny. Uwijały się, rozpalając ogień w wygasłych kominach, rozsuwając zasłony i otwierając okna, wpuszczając do

pokojów piękne światło poranka. Wyglądały jak dwa kontrastujące ze sobą obrazki, niemal przeciwieństwa. Mary, niska brunetka, poruszała się szybko i sprawnie radziła sobie z robotą. Wysoka, szczupła Jenny o blond włosach i łagodnym głosie cicho podążała za koleżanką. Zamieciono już schody i korytarze, przygotowano tace z herbatą i dostarczono je ochmistrzyni, przełożonej pokojówek oraz kamerdynerowi. Albert, chłopak do wszystkiego, odstawił na miejsce wypucowane buty jaśnie pana, po czym przez pół godziny zajmował się brudną robotą – ładowaniem koszyków z węglem i drewnem w pomieszczeniach gospodarczych po drugiej stronie podwórza. Pod czujnym okiem kucharki, pani Carlisle, rozpalono pod piecem, w którym teraz wypiekał się chleb. O siódmej rano wszyscy spotkali się w kuchni dla służby, gdzie na wielkim, wyszorowanym do czysta stole nakryto do śniadania.

Dziś zebrali się w jednym miejscu, ale kiedyś było inaczej. W przeszłości lokaje i pokojówki jadaliby osobno. Jednak z powodu wojny liczba służących znacznie zmalała. Zaledwie trzy lata wcześniej wraz z osobami pracującymi na zewnątrz, w ogrodach i stajniach, Rutherford zatrudniało dwudziestu czterech ludzi. Teraz – oprócz zjawiających się od czasu do czasu pomocników z wioski – zostało ich jedenaścioro.

Dwóch stajennych i dwóch uczniów ogrodnika przebywało teraz na ćwiczeniach wojskowych przed wyjazdem do Francji. Podkuchenna Grace i jedna z pokojówek, ociężała i wiecznie skwaszona Cyntia, wybrały pracę w przędzalniach, skuszone obietnicą wyższej pensji i błaganiem własnych matek, których mężowie i synowie zaciągnęli się do Armii Ochotników Lorda Kitchenera, jak wielu innych przed nimi. Lokaje Nash i Harrison również się zaciągnęli. Wysoki, beztrudny Harrison zniknął bez ostrzeżenia niemal w tej samej chwili, gdy wypowiedziano wojnę. Nash, poważny, cichy i lojalny do bólu, wciąż jeszcze przebywał na szkoleniu.

Pan Bradfield z trudem sobie radził, mając tylko jednego lokaja oraz głupekowatego chłopaka do wszystkiego, Alfreda.

Pani Carlisle ze stoickim spokojem znosiła długie godziny pracy, podczas których przyuczała do pracy pomywaczkę Enid. Regularnie prosiła też ochmistrzynię, by znalazła jej do pomocy kogoś, kto zamieszkałby w majątku. Na szczęście odkąd zaczęła się wojna w domu Cavendishów rzadko urządzano wystawne kolacje.

Przełożonej pokojówek, pannie Dodd, zostały na piętrze tylko Mary i Jenny. Zresztą wszyscy sądzili, że nawet Elizabeth Dodd planuje powrót do Sheffield, aby znaleźć się bliżej rodziny swojego ukochanego. Amelie, pokojówka pani domu, oraz Cooper, kamerdyner lorda, tak samo jak niańka nigdy nie schodzili na dół. Może i byli częścią służby, ale nie mieszała się z tymi, których uważali za gorszych od siebie. Między nimi istniała przepaść.

Zatem o siódmej rano wokół kuchennego stołu zebrała się niewielka grupa osób. Mimo okoliczności, zgodnie ze zwyczajem nikt nie usiadł, dopóki nie zjawili się pani Jocelyn i pan Bradfield.

Mary Richards się niecierpliwiła. Wreszcie usłyszeli na kamiennej posadzce korytarza szybkie kroki pani Jocelyn, a po chwili ciche i równomierne stąpanie pana Bradfielda. Pani Jocelyn weszła do kuchni, ściskając mocno Biblię – wracała właśnie z porannej, samotnej modlitwy. W jej oczach pobłyскиwało nabożne skupienie i nieżyczliwość. Mary pomyślała, że kobieta bardzo schudła przez ostatni rok, jakby trawiła ją nieustanna gorączka. Wykrochmalony kołnierzyk nie opinał ciasno jej szyi, a uważny obserwator mógł stwierdzić, że kościste dłonie drżą.

Mary przeniosła wzrok z pani Jocelyn na pana Bradfielda. On z kolei wyglądał jak zawsze – wysoki i spokojny, o gładko zaczesanych rudoblonde włosach. Czasem dało się go przyłapać na uroczym i czarującym zamyśleniu, trochę rozmarzonego.

Bradfield odsunął krzesło pani Jocelyn. Wszyscy usiedli. Śniadanie jedli w milczeniu. Posiłek nie trwał długo, składał się głównie z herbaty i grzanek. Wyrafinowane dania z jajek, ryb i ryżu, które grzały się na piecu za nimi, przeznaczone były dla

państwa. Kiedy napełniono dolewką herbaty ostatni kubek, Bradford wyjął gazetę. Przekazał też wszelkie listy, jakie otrzymał, ich odbiorcom.

Tego ranka jedna z kopert zaadresowana była do Mary.

Dziewczyna spojrzała uważnie na znaczek. List nadano w Carlisle.

– Co tam masz? – spytała pani Jocelyn.

– To od Davida, proszę pani.

– Davida?

– Pana Nasha.

Pani Jocelyn odwróciła głowę.

– To cud, że ma czas na pisanie. – Zdecydowanie się jej nie podobało, że lokaj spoufala się z pokojówką. Jej zdaniem to śliski grunt, może wręcz nieprzyzwoitość. Pani Jocelyn uwielbiała wydawać sądy dotyczące moralności innych. Teraz spojrzała oskarżycielsko na Jenny.

– A ty?

Jenny poczerwieniała jak burak. Trzymała list, którego nadawcę zdradzało wyraziste pismo. Korespondencja pochodziła od Harrisona. Wyciągnęła kopertę przed siebie, po czym upuściła ją na stół, jakby się wstydziła.

Pani Jocelyn niemal się na nią rzuciła.

– Ten mężczyzna odszedł ze służby bez słowa.

– Jest w londyńskim pułku – odważyła się powiedzieć Jenny.

– A niby z jakiej racji tam trafił?

– Nie wiem – przyznała Jenny. I dodała cicho: – Rzadko pisuje.

Wreszcie pani Jocelyn zostawiła ich i ruszyła na górę, żeby ustalić z lady Cavendish menu na dzisiejszy dzień. Mary widziała na twarzy starszej kobiety toczącą się wewnętrzną walkę – z całej siły pragnęła mocniej skrytykować Davida Nasha i Harrisona. Oni jednak zaciągnęli się do wojska, więc zastępowali na pewną dozę szacunku. Zapewne, doszła do wniosku Mary, zdaniem ochmi-strzyni walka o kraj jest mniej ważna niż polerowanie sreber jaśnie

pana. Dla pani Jocelyn nie istniało nic ważniejszego niż wygoda Williama Cavendisha.

Dopiero kiedy kobieta zniknęła na dobre, a służący usłyszeli głuchy trzask zielonych, obitych tkaniną drzwi na górze, Mary się skrzywiła.

– Stara krowa.

Na szczęście – wśród szczęku talerzy – nikt nie usłyszał jej słów.

– Jakież wieści? Co napisał? – spytała Jenny.

– Dostanie kilka dni przepustki.

– Przyjedzie tu?

Mary wepchnęła list do kieszeni.

– Możliwe. A Donald?

Jenny pokazała jej pospieszne bazgroły Harrisona – zajmowały zaledwie jedną stronę. To nie był list miłosny, wręcz przeciwnie – zawierał opis londyńskiej grupy muzycznej, która odwiedziła ich w obozie szkoleniowym. Mary spojrzała na Jenny i zastanawiała się, co dziewczyna o tym myśli. Harrison z pewnością nie należał do jej ulubieńców – zbyt pewny siebie i zanadto przekonany o własnej wyższości – ale nie chciała psuć Jenny radości, którą zapewne czerpała z jego listów. Bądź co bądź Jenny była miłą dziewczyną, choć naiwną. Budziła w Mary opiekuńcze uczucia.

Jenny zmarszczyła czoło.

– Píše, że wkrótce wyruszą do Francji. Dlaczego on jedzie, skoro nie wszyscy jeszcze skończyli szkolenia?

– Niektórzy ochotnicy z Londynu zostają oddelegowani do regularnych oddziałów – odparła Mary. – Słyszałam, jak mówił o tym pan Bradfield.

Jenny złożyła kartkę i schowała.

– Nie rozumiem połowy tego, o czym on pisze – mruknęła. – Nie wiem, kim dla niego w ogóle jestem.

Mary, ku swojemu przerażeniu, dojrzała w oczach Jenny łzy. Już chciała powiedzieć: „Nie pozwól, żeby jakiś mężczyzna cię

skrzywdził”, kiedy dziewczyna wstała, wzięła swój talerz do umycia, a gdy skończyła, szybko wyszła z kuchni.

Czterdzieści mil od Rutherford, wysoko na wzgórzach Westmorlandu, David Nash szedł po grzbiecie Helvellyn. Tego ranka wspiął się na zachodnią ścianę wysokiej góry, a teraz zatrzymał się na jej szczycie, wciągając głęboko w płuca czyste, ostre powietrze.

Za plecami miał doliny Cumberland, Borrowdale i Thirlmere, a przed sobą linię Ullswater. Właśnie w okolice jeziora zamierzał dotrzeć przed wieczorem. Wyliczył, że na miejsce dojdzie za jakieś trzy godziny. Daleko w dole jezioro Red Tarn wyglądało jak niemal idealne, ciemnoniebieskie kółko leżące u stóp ostrego, wysokiego na tysiąc stóp urwiska.

Mimo że rozciągał się przed nim tak piękny widok, myślał o Mary Richards i Rutherford. Liczył na to, że uda mu się spędzić w majątku choć jeden dzień. Zawsze był zbyt nieśmiały, by powiedzieć Mary, co do niej czuje. Lepiej wychodziło mu przelewanie słów na papier. Mary wydawała się zawsze taka pewna siebie. Przerażała go myśl, że jeśli zdradzi jej swoje uczucia, ona oceni go zmrużonymi oczami.

Ostatnim razem, kiedy znalazł się na szczycie Helvellyn (musało to być już cztery lata temu, gdy awansował na lokaja), mgła była taka, że nie widział swojej wyciągniętej dłoni. Chmury opadły nagle, a on krążył, zdezorientowany, tuż przy krawędzi urwiska. Nagle spojrzął w dół – mgła kotłowała się w rozpadlinie, jak woda wirująca w studzience ściekowej.

Odsunął się wtedy od krawędzi, czując na plecach zimny pot. Znalazł się o krok od upadku. Ale teraz, w ten późnowiosenny ranek, na niebie nie widział ani jednej chmurki. Gdy patrzył w stronę, w której znajdowało się Yorkshire i Rutherford, był nawet w stanie dostrzec Góry Pennińskie. Nie słyszał też niemal żadnych dźwięków – równie dobrze mógł być jedynym człowiekiem na ziemi.

Usiadł na gładkiej, nisko wyrosniętej darni i spojrzał ponownie w stronę Brown Cove Crags, skąd przyszedł. Trasa wspinaczki prowadziła wąskim parowem po zwirowatym podłożu, gdzie kamienie co rusz zdradliwie usuwały mu się spod nóg. Daleko w dolinie majaczyła długa, niewyraźna plama Thirlmere, sztucznego zbiornika stworzonego, by zaopatrywać Manchester w wodę. Kiedy padła propozycja utworzenia jeziora, wybuchły liczne protesty – pamiętał, jak opowiadali mu o tym rodzice. Teraz niewielka dolina i leżące w niej pola zniknęły pod wodą. Zastanawiał się, jakie jeszcze zmiany nadejdą w przyszłości. Położył się na plecach i wpatrywał w niebo.

Jego brat pracował kilka mil na wschód od Ullswater, w małej wiosce zwanej Orton – był tam stajennym. We wrześniu minionego roku David wziął należne mu trzy dni wolnego i pojechał szukać Arthura. Znalazł brata na terenie stajni. Wybierał gnój, pogwizdując głośno. Piękny szary koń – używany przez właściciela majątku podczas polowań – stał uwiązany na podwórku. Na widok Davida Arthur oparł się na łopacie i uśmiechnął.

– Idziesz? – spytał David. Nie musiał mówić dokąd. Obaj wiedzieli. Minął niecały miesiąc, odkąd wybuchła wojna.

– Jeśli ty pójdziesz ze mną – brzmiała odpowiedź.

Nie padły więcej żadne słowa. Arthur zniknął w domu i wrócił pół godziny później. Razem poszli do wioski, gdzie złapali podwózkę. Na tyle wozu dojechali do Keswick. Kiedy dotarli do punktu werbunkowego, było już późne popołudnie, ale wielu mężczyzn wciąż czekało w kolejce. Wszyscy poklepywali się po plecach i uśmiechali, gadali o tym, jak przegonią z Belgii Hunów. David, jako starszy, wszedł pierwszy. Potem patrzył, jak Arthur podpisuje swoje zgłoszenie. Zaśmiał się pod nosem, gdy młodszy brat się zawahał i w rubryce „zawód”, wpisał „lokaj”, podobnie jak David. Arthur był lokajem w takim samym stopniu, jak astronomem, lecz David mrugnął tylko do niego konspiracyjnie, kiedy opuszczali posterunek jako nowi członkowie pułku.

Potem poszli do pubu. David uśmiechnął się szeroko do brata.

– Cóż, zrobiliśmy to – stwierdził.

– Nie da się ukryć – zgodził się Arthur. Zaróżowieni i szczęśliwi, obaj pękali z dumy. Tręcali się nawzajem łokciami, dołączyli do śpiewów. Ktoś zaintonował *Władaj, Brytania*, a potem *Kwiat w dolinie*. Wyszli z pubu roześmiani.

Nashowi jednak przestało być do śmiechu, kiedy wrócił do Rutherford i poszedł odwiedzić matkę w wiosce. Urodziła trzech synów i cztery córki. Trzy z nich pracowały na służbie. Jej mąż, a ich ojciec, zmarł wiele lat wcześniej. Nash miał również drugą rodzinę kilka wiosek dalej – dzieci pierwszej żony ojca. Wszyscy dorośli. On, Arthur i jego siostry byli znacznie młodszy. Razem było ich piętnaścioro, ale człowiek, który ich spłodził, jego ukochany, milczący ojciec, od dawna już nie żył. Pochowano go na cmentarzu parafialnym, kiedy David miał zaledwie pięć lat. Jego matka została sama z szóstką dzieci, a była to kobieta zgorzkniała i gwałtowna jak burza. Szczypała, szarpała i rozdawała klapsy bez opamiętania.

Mimo to, ku jego całkowitemu zaskoczeniu, milczała, kiedy pokazał jej papiery werbunkowe i oznajmił, że zaciągnęli się z Arthurem do wojska. Przytrzymała się framugi, a oczy wypełniły jej łzy. David poczuł wzruszenie, wręcz wstrząs. Chciał złapać matkę za rękę, ale ona stanęła tyłem i zabrała się ponownie do prania ubrań w kamiennym zlewie.

– Wrócimy, zanim się obejrzysz – zapewnił ją, starając się, żeby zabrzmiało to radośnie. – Przywiozę ci z Francji coś ładnego.

Zerknęła na niego.

– Musiałeś zabierać ze sobą Arthura? – spytała.

– Chciał iść bardziej niż ja – odparł.

Potrząsnęła głową, jakby mu nie uwierzyła. Jego młodsza siostra Gertie zjawiła się w drzwiach przybudówki i stała tak, ssąc kciuk i przesuując czubkiem buta po kamiennej podłodze. Nie była całkiem normalna, biedna, głupiutka Gertie. Tylko ona teraz matce została.

– Muszę jechać. Nie mogę nie brać w tym udziału – wyjaśniał.
– W wiosce wisi ogłoszenie. Napisane jest na nim, że albo się jest mężczyzną, albo myszą. Nie mogę pozwolić, żeby nazywano mnie tchórzem, mammo.

– Widziałam je – mruknęła. Przestała szorować i wbiła wzrok w ścianę. – Dlaczego nie możesz poczekać, aż cię powołają?

– Mogliby mnie wcale nie powołać – stwierdził. – Tak by się mogło stać. Wszystko szybko się skończy i już zawsze będę żałować, że się nie zaciągnąłem. – Poklepał Gertie po głowie, a ona spojrzała na niego wzrokiem wiernego psa. – Poza tym lord Cavendish mówił, że naszym obowiązkiem jest walczyć.

Jego matka prychnęła drwiąco.

– A co on tam wie – wymamrotała. – W poprzedniej wojnie nie walczył. W tej też nie widzę go na polu walki.

– Ale pracuje w Ministerstwie Wojny – zauważył David.

– Coś takiego? – zdziwiła się złośliwie matka. – To wspaniale z jego strony.

– I jego syn jest we Francji. Korpus Lotniczy wysłano razem z Korpusem Ekspedycyjnym.

Nie odpowiedziała.

On i Arthur najpierw zostali zabrani do miejscowości Ormskirk, na południe od Lakes, leżącej nieopodal Liverpoolu. Całą zimę spędzili na szkoleniu. Potem ćwiczyli kopanie okopów na płaskim, otwartym terenie toru wyścigowego Carlisle i wracali do obozu. Niekończąca się musztra, trwające wieczność marsze, ciągłe krzyki, tupanie i sprzątanie. Oni byli jednak od dzieciństwa przyzwyczajeni do wykonywania rozkazów. Wstawali zmarznięci i przemoczeni, rozgrzewali się, biegając, dźwigając i przenosząc rzeczy, a wszystko to niewiele różniło się od ich codziennej pracy w służbie u państwa.

Powiedziano im, że Francja przypomina ten płaski, błotnisty teren. To w porządku, komentowali między sobą. Trochę błota jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło. Biedny to żołnierz, który

nie potrafi znieść błota i deszczu. A najbardziej im się podobało, że spędzają razem czas, razem ćwiczą, są częścią czegoś większego niż oni sami, i wszyscy stanowią jedność. Są wielką, maszerującą armią. Jednym ciałem, jedną myślą i jednym celem.

Kiedy się zaciągali, mieli pewność, że wojna skończy się do Bożego Narodzenia. Ciągące się miesiące zimowych ćwiczeń ich przygnębiały. Wyglądało na to, że przepowiednia Davida może się spełnić – będzie po wszystkim, zanim ich pułk zdąży wyruszyć.

Na wiosnę marzenia o bohaterstwie zaczęły brzmieć fałszywie – słyszał to wyraźnie we własnym głosie. Wielka przygoda spowszedniała, zniknęła gdzieś radość, beztruskę zastąpił ponury, rozpaczliwy humor. Wiedzieli z gazet, ilu zginęło, i zaczęli rozumieć, jakie mają szanse na przeżycie. Od poprzedniego października słowo „Ypres” nabrało gorzkiego, obrzydliwego posmaku. Wszystko wskazywało na to, że przed miesiącem po raz kolejny wybuchło tam piekło. David nie miał wątpliwości, że właśnie tam – albo w okolicach – wyląduje jego pułk. I nie dało się już wycofać. Mało tego: pojechać stało się nawet bardziej istotne niż wcześniej.

Patrzył teraz na piękne błękitne niebo i myślał, że on sam jest tylko niewiele znaczącym człowiekiem leżącym na szczycie wysokiej na trzy tysiące stóp góry, równie wartościowym co trawa. Sam w sobie nie miał znaczenia. Nie w codziennym życiu. Z zewnątrz był całkowicie zwyczajny i wiedział o tym. Ale może wojna sprawi, że stanie się silniejszy. Będzie pożyteczny, osiągnie jakiś cel. Może to uczyni go twardszym i lepszym w sposób, którego nie potrafił wyjaśnić ani zdefiniować.

Wiedział, że jest raczej nijaki. Żaden z niego przystojniak. Nikt by go nie zauważył w szeregu innych. W trakcie ćwiczeń zrobiono żołnierzom zdjęcia i przypięto je do ścian baraków. Kiedy przyszedł na nie popatrzeć, przez dłuższy czas nie potrafił odnaleźć siebie samego. Gdy wreszcie mu się to udało, z pewnym rozgoryczeniem stwierdził, że nie ma w nim nic wyjątkowego. Nic nie sprawiało, że wyróżniał się z tłumu. Był wysoki, to fakt, ale

chodził zgarbiony. Przypuszczał, że nabrał tak służalczego wyglądu z powodu wielu lat służby. Był też chudy, miał blade dłonie i cienkie nadgarstki. Zdecydowanie sporo brakowało mu do ideału żołnierza.

Mary zaskoczyła wieść, że się zaciągnął. Uniosła brwi.

– Myślałam, że jesteś spokojnym mężczyzną.

Rozsierdziła go ta subtelna insynuacja. Na widok jego zdenerwowanej miny dziewczyna się uśmiechnęła.

– Nie widzę cię w roli żołnierza, tylko o to mi chodziło – szepnęła, kiedy znów się mijali w prowadzącym do kuchni korytarzu.
– Z twoją poezją i w ogóle.

Zastanowił się nad jej słowami.

– Poeta też może nosić broń – powiedział. – Kiedy wrócę tu w mundurze, zobaczymy, jak ci się spodobam.

– Już teraz wystarczająco cię lubię. – Uśmiechnęła się.

Zaskoczony, patrzył na jej plecy, kiedy odchodziła szybkim krokiem.

Podniósł się na łokciu i zerknął w dół, w stronę Ullswater. Tuż obok zaczynała się Krawędź Piechura, długi, wąski występ skalny, który prowadził od Helvellyn aż do odległego jeziora i wioski Glenridding. Szedł tamtędy już wcześniej – okazał się nie tak straszny. Znajdzie się na miejscu przed zachodem słońca. Zejście było łatwiejsze niż podejście z Dale Head, a to miał już za sobą – wycieńczająca, nieubłagana, radosna wspinaczka. Następnego dnia planował wejść na Bampton Common, dotrzeć na Sharp i tam oprzeć plecy o kamień Guggleby – relikw sprzed tysiąca lat albo starszy, element kręgu kamieni i alejek, których znaczenia nikt nie rozumiał.

Wspinał się, żeby móc zabrać ze sobą wspomnienie tego spaceru i tych gór, aby te obrazy przetrwały w jego umyśle jak niewidzialna pamiątka.

Rok wcześniej o tej porze nie zdawał sobie sprawy, że wojna jest możliwa. Nigdy sobie tego nie wyobrażał. Robił w Rutherford

to, co zawsze – podawał do stołu, kładł obrusy, polerował srebra. Pomyślał o wnętrzu gorącej kuchni dla służby, gdzie Mary pewnie nawet w tej chwili pracowicie przygotowywała tace na popołudniową herbatę. Spróbował sobie wyobrazić, że stoi obok niego. Marzył o tym, żeby położyć rękę, mimo że chudą, może wręcz kruchą, na jej czerwonych i spracowanych palcach. Wyobraził sobie, jak przerywa jej pracę i patrzy w tę poważną, szczerą twarz, w brązowe oczy pełne powściągliwego humoru i dobroci. Wyobraził sobie coś, czego nigdy nie zrobił – że podnosi jej palce do ust i delikatnie całuje.

Może drwiłaby z niego. Zastanawiał się, czy rzeczywiście by tak było. Roześmiałaby się, odwróciła albo zażartowała. A może wcale by się nie roześmiała. Może zwróciłaby w jego stronę swoje poważne spojrzenie i pochyliła głowę. On spojrzałby na jej gęste, brązowe włosy ściągnięte skromnie na karku. Patrzyłby, jak jej gadatliwe usta rozchylają się w uśmiechu. Może nawet położyłaby dłoń na jego ramieniu.

Uśmiechnął się mimo woli. Byłaby z nich taka osobliwa para. Chodziło tylko o to, że ona zawsze z nim rozmawiała. Lubił dźwięk jej głosu. Poprosił, żeby do niego pisała, dzięki czemu ten głos będzie mu towarzyszyć wszędzie, gdzie się znajdzie.

– Tak zrobię – zapewniła.

– Obiecujesz? – spytał.

– Nie rzucam słów na wiatr – odparła ostro.

Odgarnął włosy. Owiewał go chłodny wiaterek. Wyjął z kieszeni kartkę papieru i ołówek. W głowie kotłowały się rymy, które nie były do końca rymami. Delektował się słowami, jakby miały smak. Układał je w myślach, próbując zrozumieć górę zwiniętą pod nim jak wielki pies. Chciał pojąć, skąd się bierze jej siła, jak tętni jej puls. Zamknął oczy i wczuł się w bezmiar rozciągających się przed nim mil.

Otworzył oczy, wygładził na kolanie papier i zaczął pisać.

Maj 1915 roku okazał się piękniejszy niż kiedykolwiek.
A zarazem najstraszniejszy.

Z położonego na wzgórzu rozległego majątku Rutherford Park rodzina Cavendishów ma doskonały widok na otaczający ich świat: przepiękny i z pozoru bezpieczny. Piękno sięga aż po horyzont i daje ukojenie. Wiosną tego roku nic nie wydaje się bardziej urocze. A jednak...

Aby uniknąć skandalu, William i Octavia postanawiają żyć w kłamstwie. Poczucie obowiązku i konwenanse przegrywają jednak z namiętnością i Octavia w końcu odpowiada na list Johna Goulda, który w Ameryce zbudował dla nich dom. Jej dawny kochanek wsiada na pokład „Lusitanii” i wyrusza do Anglii, aby odzyskać ukochaną...

W tym czasie Harry, dziedzic rodu Cavendishów, dołącza do Królewskiego Korpusu Lotniczego we Francji. Na front wyruszają także inni mieszkańcy Rutherford. Każdy z nich, jak pochylony na wietrze ciemny dziki kwiat, będzie musiał stawić czoło nieuniknionej prawdzie o samym sobie.

Czy w obliczu nadchodzących zmian zmieni się także świat Rutherford?



BOOKLIPS.PL IIII

www.marginesy.com.pl



9 788364 700927

cena 39,90 zł